

NOS NIE PRZYBYŁ NA WESELE...

Przed dwoma blisko laty redaktor naczelny kazał mi pojechać do Białegostoku, aby zdać sprawę z tego co się działo w tamtejszym teatrze. Nie zapalałem wówczas entuzjazmem do tej podróży. Nigdy też nie przypuszczałem, że połączy mnie z teatrem białostockim serdeczna zażyłość, o której mogę dziś śmiało mówić. Wizyty w Białymstoku weszły mi niemal w przyzwyczajenie. Dlatego też, kiedy Irena Górska wystawiła *Wesele*, trudno było na nie nie pojechać. Niech to wytłumaczy fakt, dlaczego akurat to *Wesele* odnotowujemy dziś na łamach naszego pisma, mimo że nowych przedstawień tego najpopularniejszego bezsprzecznie dzieła autora *Wyzwolenia* mnoży się na polskich scenach coraz więcej.

Wesele... Można o nim bez końca, można podawać je na najrozmaitsze sposoby, interpretować i dopełniać setką komentarzy — zawsze wyjdzie chyba cało, zawsze zostanie sobą. Taki to już przedziwny, emanujący niepowtarzalną jakąś „siłą fatalną“, utwór. Proszę mi wybaczyć te banały. Jeden Adam Grzymała-Siedlecki potrafi mówić o *Weselu* wciąż na nowo i wciąż interesująco. Jakże niewdzięczne i nieco zabawne były — wspomnijmy na marginesie — święte oburzenia twórców warszawskiego spektaklu sprzed trzech lat (pierwszego po długiej przerwie) na jego wyborne szkice o tym przedstawieniu drukowane w „*Teatrze*“.

Jak szybko jednak zmieniła się u nas atmosfera i sposób mówienia o zjawiskach w sztuce! Stała się na pewno normalniejsza, bliższa charakterowi i duchowi współczesnej cywilizacji. O to przecież między innymi walczył Wyspiański. Przestaliśmy być narzędzie śmiertelnie pryncypialni przy każdym przedstawieniu teatralnym i każdej książce, przestaliśmy „odkrywać“ i „odczytywać“ rzeczy dawno odczytane i odkryte, weryfikować rzeczy dawno zweryfikowane i zasympilowane w świadomości społeczeństwa. Przestaliśmy tworzyć modele „jedynie prawdziwe“, wzorcowe, obowiązujące. Te stwierdzenia są także banalne. Tylko że w związku z *Weselem* żywo przychodzą na myśl i same cisną się pod pióro. Pamiętam także zebranie w działającej kiedyś sekcji drama-

tu Związku Literatów Polskich, na którym mówiło się o *Weselu* z okazji rozpoczętych przygotowań do „narodowego wydarzenia“, jakim miały się stać pierwsze po latach premiery tego utworu. Na IBL-owskie wywody, w jaki sposób i w jakiej interpretacji należy „przywrócić“ kulturze narodowej *Wesele*, odpowiedział wówczas Jerzy Kreczmar: kochani, nie bądźmy śmieszni, nie uprawiajmy dziwnej i naiwnej zabawy w przywracanie komuś czy czemuś tego, co od pół wieku stanowi jego własność. I dodał jeszcze, ku zgroźce obecnych, że teatr, w którym pracuje, myśli o realizacji innego dzieła tego „reakcyjnego“ pisarza — *Wyzwolenia*. Dla adepta IBL-owej polonistyki Warszawskiego Uniwersytetu, jakim był wtedy niżej podpisany, było to słowo szokujące.

Sprawy te są już dziś mocno odległe i zwietrzałe, tak jak odległe, a nawet nie bardzo już zrozumiałe w swoim zacietrzewieniu i arbitralności są głośnie spory i dysputy, jakie rozgorzały po warszawskiej premierze *Wesela* w roku 1955. Mamy dziś Rok Wyspiańskiego, trzy równoczesne inscenizacje *Wyzwolenia* i wiele *Wesela*. Wśród nich *Wesele* białostockie, o którym mam opowiedzieć.

Nie trzeba tłumaczyć, jakim wyczynem jest wystawienie *Wesela* w warunkach teatru białostockiego. Oczywiście wystawienie, a nie amatorska improwizacja. Ambitny zespół tej sceny podjął to zadanie żarliwie i z przejęciem. Co więcej, reżyser Irena Górska wespół z utalentowanym młodym scenografem Stanisławem Bąkowskim (niedawnym absolwentem wydziału scenograficznego warszawskiej Akademii Sztuk Plastycznych) pokusili się o własny kształt inscenizacyjny poematu dramatycznego Wyspiańskiego, o własną jego „wizję“, niewątpliwie wizualnie świeżą i pod pewnymi względami interesującą, aczkolwiek w wielu punktach oczywiście sporną. Najważniejsze jest jednak to, że Teatr im. Węgierki odniósł wystawieniem *Wesela* wielki sukces frekwencyjny, że publiczność przychodziła i przyjeżdżała z terenów całego województwa masowo i że widzowie byli po przedstawieniu bardzo wzruszeni. I to, że *Wesele* pozostało w tym z pewnością ciekawym spektaklu *Weselem* i dzia-



TEATR im. WĘGIERKI w BIAŁYMSTOKU: WESSE Stanisława Wyspiańskiego. Janusz Cywiński (Dziennikarz) i Władysław Hermanowicz (Stańczyk)

staci. Chochół reżyseruje na scenie całe przedstawienie. Pojawia się na chwilę w snopie reflektora z boku, na przednim skraju sceny przed rozpoczęciem akcji, jest jakby inspicjentem znacząco kiwającym się przy wejściach i zejściach „osób dramatu“ w drugim akcie, kończy wreszcie, zgodnie z autorem, widowisko przygrywając tańczącej sennie „całej szopce“ i pogrążając wszystkich w beznadziejnie-upojnym dreptaniu. Uwidocznienie na scenie koncepcji *Wesela* jako Chocholej próby, Chochołowego eksperymentu, jakiemu poddani zostają bohaterowie utworu — reprezentanci społeczeństwa (w Chochole, w krzewie różanym miałyby być zakłute wolne życie narodu), koncepcji wywodzącej się z pracy Kucharskiego *Wernyhora i złoty róg*, może mieć swoje racje. Jednak wydaje mi się, że jest to wyraz nieoprotrebnej w wypadku *Wesela* tendencji realizowania w teatrze komentarza (obojętne jakiego) zamiast samego utworu. Zrealizowanie tego, co stworzył Wyspiański, w kształcie takim, w jakim to stworzył, stanowi tu już zadanie dostatecznie wdzięczne i dostatecznie trudne. Sądzę, że nic lepszego ani prostszego nie da się tutaj wymyślić. A realizacja aktorska przedstawienia była w Białymstoku zadaniem wyjątkowo trudnym. Z tym większą troskliwością trzeba zatem ocenić trud całego zespołu, wyłowić i choćby wymienić osiągnięcia najtrafniejsze. Zaliczyłbym do nich rolę Gospodarza graną przez bardzo młodego aktora Zbigniewa Stawarza, Dziennikarza (Janusz Cywiński), Czepca (Eugeniusz Lotar), Jaśka (Władysław Jeżewski), Isię (Helena Krauze), Pannę Młodą (Janina Węglanówna), Marysię (Nina Czerska), Marynę (Halina Słowjewska). Z osób dramatu zapamiętałem wszystkie oprócz głosu Chochoła, najlepiej zaś chyba rozumną grę i świetny wygląd Stańczyka (Władysław Hermanowicz). Ze zrozumiałych względów pewne role były obsadzone aktorami nie czującymi się w nich dobrze, i wiele pracy włożyła Górska, aby dociągnąć przedstawienie do względnie wyrównanego poziomu. Miało jednak białostockie *Wesele* rolę, której nie powstydziliby się żadna polska scena — Rachelę Janiny Mrazkównej. Postać naprawdę świetną, zdobytą przez młodą artystykę bravurowym szturmem. Nie było tam nic z zewnętrznej satyry, były za to: doskonałe mówienie wiersza, rozwinięty głos, cudowny wygląd i poruszanie się na scenie, pełna i szczerą symbioza aktorki i postaci, podbudowana wysokim stopniem przygotowania technicznego. Dla tej Racheli warto było przyjechać do Białegostoku nawet z Wrocławia. A Nos? Prawda, Nosa nie było na weselu...

Andrzej Władysław Kral